

oteka  
MK  
ruń

365334

148

20-  
Kazimierz Laskowski.

# SURDUTOWIEC.

POWIASTKA. 1.1296

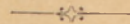


WARSZAWA.  
NAKŁADEM KSIĘGARNI  
A. G. DUBOWSKIEGO.  
91. Marszałkowska 91.

1901.



Kazimierz Laskowski.



# Surdutowiec.

POWIASTKA.

*L: 1296*



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

A. G. DUBOWSKIEGO.

91. Marszałkowska 91.

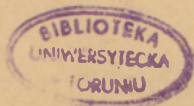
1901.

Druk F. Csernaka, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 60.



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 30 Ноября 1899 года.

365334



K. 2440/65

I.

Dniało.

Zanosiło się na przyparek. Słońce wstało zawczasu, rozpalone, czerwone, niby jarząca kula. Popłynęły złociste promienie ku ziemi, ku łanom przeróżnego zboża, przysiadły na ustawionych tu i owdzie półkolkach, zajrzały w dudki ściernisk, pijąc rosę poranną, co w świecących bańkach na źdźbłach zawisała.

A za słońcem ocknęło się wszystko ze snu nocnego.

Obżarte wróble, ćwierkając nad kiścią kłosów dojrzałego jęczmienia, zbierały się do śniadania; wyfruwały z lasu, krzycząc i łopocząc skrzyłkami, krzykliwe wrony, aż ich się całe stadko zybujące ku ludzkim siedzibom zebrało; wracał siołochy zając z polnego żerowiska w gęstwinię, a i ze wsi dolatywał już pogwar głosów — znak, że gospodarze po wywczasie ku robocie się mają.

Wieś zwała się Tokarnia.

Tokarscy gospodarze nie lubili się ociągać, taki taki zerwał się z postania o brzasku, prze-



żegnał Krzyżem Świętym i dalej do roboty. W żniwa każdemu pilno. Niejeden nie dośpi, bo nie pora na wylegiwanie, kiedy chlebuś żrały o posiedzysko w stodole prosi. Chybisz... przeczekasz... to albo ziarno leci, albo też, co gorzej, deszcz lunie, obrosi raz, drugi, trzeci, to na przyparku i porość gotowe!

Od rana też uwijał się kto żyw, zwyczajnie jak w pszenne żniwa.

Jedni ładowali wozy w kopne drabiny, drudzy, przysiadłszy na przyźbie, klepali kłosa, inni moczyli powrósła w stoku, żeby się na skwarze nie rwały. Gospodynie rozpałały na kominach, krzątając się zawczasu wedle śniadanej warzy.

Ruch i bieganina wszędy.

Żegotały skoble i wrzeczadze otwieranych drzwi i wrót, turkotały wozy, rozlegało się po wsi wesołe „oj ta dana!” Parobcy i dziewczęta wychodzili z chałup, dążąc miedzami w pole. Ten z grabiami, ów z kosą lub sierpem, jak komu wypadło. Z każdej prawie chaty ktoś wybiegł, śpiesząc na zagon. Zostawały tylko leciwe kobiety a dzieci „kuli obrządku w izbie.” Zgotuje się warza, w dwojaki naładuje, to byle pędrak w pole zaniesie, a z powrotem chwastu dla gadziny uzbiera.

Wioska wyludniać się zaczęła.

Tylko z domostwa Wincentego Grzędy nikt nie wychodził. W izbie cicho, jakby wszyscy jeszcze spali.

Widząc to, przechodzący Tokarżanie kiwali głowami. Dziwno im było. Grzęda, choć gospodarz w latach, do roboty przyłożyć się lubiał, tem bardziej, że z dzieci wielkiej wyreki nie miał. Najstarszy syn, jedynak, Szczepek, powędrował gdzieś w świat między ludzi, bo mu się lekkiego chleba a „panowania” zachciało; w chałupie zostały same dziewczęta, a wiadomo, że w chłopskim obejściu z kobiety wielkiej obrady niema. Jeszcze koło domu ujdzie, ale jak przyjdzie w polu zasiał czy zbierać, jeden chłop za trzy baby starczy.

Przystanęło kilkoro ludzi przed Grzędową chałupą i nuż nasłuchiwać.

— Albo zaraz po północy w pole ruszyli, bo mają jęczmień żrały, to go z rosą zerznąć chcieli, albo się co stało — odezwał się Walek Capiga.

— W pole? Chyba nie, bo kołowrót na ściężaj otwarty, to musi ktoś być w stodole. Wincenty-by tak chudoby bez zamknięcia nie ostawili — zauważył Jasiek Gajda.

— A może Szczepek wrócił i po dawnemu brewerye stroi?—zagadnęła nadchodząca Kurkowa.—Pokłócił się ze starym, bo to harde, i Wincenty mu znowu basarunek sprawił i za ograniczonymi wymiottł. Najprędzej tak będzie — domyślała się babina,—bo nawet Herszla opowiadał, że Szczepka na jarmarku widział. W zimie to go tu nie upatrzy; ale z latem z „nowego” tu zawdy ściągnie, by od matki parę groszy wycyganić.



— Jakiego uchowała, takiego ma; to wszystko Grzędziny sprawka. Cackała, pieściła... Oczko w głowie Szczepuś, elegant!... Surdut na nim, kamizelka w pasy, zegarek przy łańcuszku... a hardel!... nie przystępuj bez kija. I Wincenty winien, bo na wszystko kobiecie pozwalał, a ojcowskiej powagi nie użył. Teraz za późno. Chłopisko wyrosło, zapachniała mu fabryka, obcy świat, a o roli ani zbyli! Jak zajrzy trafunkiem, to się tylko z ojca prześmiewa. Wincenty cierpi, ale go już parę razy wyłoił i wygnał. Bo i po co darmożjada w chałupie trzymać, kiej się do roboty nie ima?—odpowiedział Capiga.

— Sprawiedliwieście rzekli—potaknęła Kurkowa. — Ja sama przemawiałam się parę razy z Grzędziną. Mówię: kumosiu, nie brońcie tego Szczepka przed waszym... niech mu czasem kole skóry zrobi, a do roboty napędzi, bo zobaczycie! Ale szkoda gęby. Parsknęła na mnie, z pięściami doskakiwała... I teraz pewnikiem nie było inaczej. Przywlókł się nocą, bo to jego zwyczaj... kanaczek... Poswarzyli się, i Wincenty, niewiele myślący, znowu przepędził, a matka za nim, za jedynakiem, więc i w chałupie pusto.

— Wszystko to prawda — rzekł, przerywając Kurkowej, Tomasz Wach, podsołtysi tokarski,—ale zobaczyć nie zawadzi. Szczepek, nie Szczeppek, a coś się Wincentym przytrafić musiało. Może złodzieje gadzinę wyprowadzili? Jasięk! tyś młody, skocz-no ku stodołę, a obacz! Może

ci się choć która z dziewuch napatuchnie, bo w chałupie widać niema żywej duszy.

Skoczył Jasięk, ale jeszcze nie dobiegł do uchylonego kołowrotu, gdy nagle z obórki doleciał straszny krzyk Grzędziny:

— Rety! rety! Ludzie! chrześcijany! ratujcie!

— Oloboga! — krzyknął Jasięk i popędził, a za nim wszyscy, przestraszeni wielce.

Na obórce, przed progiem stajni, leżał Wincenty Grzęda, nieruchomy, błydy, jakby bez życia. Ręce opuszczone bezwładnie, oczy w ślup, a siny jak święta ziemia. Nad nim klęczała, podtrzymując obwisłą w tył głowę męża, lamentująca w niebogłoty Grzędzina, opodał stały osłupiałe córki, nie wiedząc, co począć.

— Co się stało? — wrzasnął poprzedzający innych Gajda.

— Oj! rety! rety! ludzie! kumotry kochane! Ratujcie, kto w Boga wierzy! — zakrzyczała znowu Grzędzina.

Nadbiegli Wach z Capigą, unieśli chorego w górę.

— Prędeż, wody! huknął Wach.

Jedna z dziewczyn, oprzytomniawszy, pobiegła do studni. Przyniosła pełne wiaderko. Chlusnęli Grzędzie w twarz. Mrugnął oczami, ale nie rzekł słowa. Usadowili go teraz w kucki, plecami o stajenną ścianę oparli. Wach rozpiął na nim koszulę, przyłożył ucho do piersi.

— Żyje — rzekł — to już dobrze! Dalej, Jasięk, na szkapę i po księdza proboszcza. A wy, ku-



moska — zwrócił się do Kurkowej, — polećcie po „babkę” Marcychę, niech przychodzi, może co zaradzi. My z Capigą przeniesiemy Wincentego do izby. Dalej, śpieszta się, bo może i doktor będzie potrzebny...

Podrapał się w głowę Gajda, bo mu w pole pilno było, ale żalością zdjęty nie rzekł słowa, tylko przyprowadziwszy ze stajni Grzędową kobyłę, galop pocwałował na plebanię.

Kurkowa, choć radaby z kobiecej ciekawości postać a posłuchać jeszcze chwilkę, także podreptała na wieś, po starą Marcychę. Niechrześcijańska rzecz ludzi w nieszczęściu nie poratować.

Wach z Capigą wzięli Grzędę we dwóch, jeden ujął pod ramiona, drugi za nogi, zanieśli do izby i na łóżku położyli.

Lamentujące dzieci z Grzędziną stanęły wiankiem koło łóżka. Już pierwsza żalność a strach przeszły, więc też Grzędzina, opamiętawszy się trochę, przemówiła.

— Oj! dolaż moja, dola! kumotrowie kochani. Cóż ja teraz nieboga z temi sierotami pocznę sama? Oj, Jezus najmilejszy, zmiłujże się nad tem robactwem, zmiłuj, i nie zabieraj im ojca! — zaczęła zawodzić, a córki znowu w bek.

Żal się zrobiło kobiety Capidze, więc choć wiedział, że Grzędzina nieraz się ze swoim przez Szczepka poswarzyli, nie chciał już teraz małżeńskiej kłótni wspominać, jeno pocieszał:

— Pan Bóg miłosierny, nie dopuści nieszczęścia. Wincenty chłop zdrów, to choć go z nóg zważyło, skrzepi się przy łasce Bożej, a was samych na tym świecie nie zostawi. Ale powiedzcie przecie, kumosię, co się takiego przytrafiło, bo my z Wachem nadarłosa sobie głowę suszewa. Potłukli się Wincenty, czy co? A może urok?

— Baj baj! — burknął Wach. — Urok! Głupota ludzka! babskie gawędy. Prędzej zły wiatr obleciał, albo się krew zakrzepła. Rzeknijcie słowo, kumosiu!

— A czy ja wiem... czy ja wiem! — zaczęła znowu z płaczem. — Wicus, mężu jedyny, przemówże, co ci? Ja się pytam... ja, twoja Agnieszka... ślubna żona. Przemówże, Wicus, a spojrzij na te sieroty!...

— Gadajcież, tatulu!... — prosiły płaczące dziewczęta.

Chory, jakby rozumiał, że go pytają, zaczął wargami ruszać, z piersi wybiegł mu jęk cichy, ale przemówić nie mógł. Poczerwieniał tylko na twarzy z wysiłku i leżał dalej nieruchomy, jak kłoda drzewa.

Więc Wach, który Grzędę w oną chwilę za głowę ujął, a wodą poił, ułożywszy go znowu ostrożnie na poduszki, zwrócił się jeszcze raz do Grzędziny z pytaniem, przedstawiając:

— Płaczem nic nie ulżycie, Wincenta. Stało się. Ręce łamać, a w miejscu stać, nic po tem.



Lepiej ano rozpalcie ogień, może choremu potrzeba będzie co ciepłego zgotować. A ty, Marynka — mówi, zwracając się do najstarszej Grzędzianki,—zawini się po izbie, zamieć... Dobrodzieja z Panem Bogiem ino patrzeć. Dalej, stało się, wola Boża, a ratunek ludzki... Cicho, dzieci! idźta do gadziny, bo ano słyszę bydło jeszcze w oborze... porykuje głodne.

Zakrzętnęła się tedy koło komina Wincenta, Maryska poczęła sprzątać izbę, a dwie młodsze dziewczuchy, wedle rozkazanania Wachowego, poszły wygnąć bydłta w pole.

Uciszyło się teraz w izbie, chory przymknął oczy, zasnął.

Wach z Capigą przysiedli pod oknem na ławie, rozmyślając nad niezwykłym zdarzeniem. Nie pytali już o nic Grzędziny, widząc, jak babinę rozebrało. Zresztą w Wachowej głowie zrodziło się podejrzenie, że się Grzędom musiało coś takiego wydarzyć, czego Wincetowa przy świadkach opowiedzieć nie chce.

Zwierzył się z tem Capidze.

— Trza kobietę do sieni wyciągnąć i wziąć na spytki—rzekł.—Wy, kumotrze, ostańcie w izbie przy chorym.

Tak też zrobił. Wywołał Grzędzinę z izby, obejrzał się dookoła, czy kogo niema, i upewniwszy się, że są sami, zaczął:

— Moja Wincenta, somsiad wasz jestem i kumotr, a ze starym rówieśnik, krzywdy ludzkiej na sobie nie mam, a niejednemu wygodziło

się, nie wymawiając. A z wami także krewieństwo jest przez matkę, toć chyba z życzliwości, a nie ze złego serca was pytam, co się stało? Mówcie prawdę, kumosiu, nie tając niczego, bo tylko przy prawdzie a świadomości rada znaleźć się może. Kiej się to stało? z nocy, czy w świtanie? A może jaki zły człowiek naszedł?—dopytywał.

Rozpłakała się babina na te słowa, wesnęła ciężko. Objęła Wachę za nogi, uściśnęła i tak opowiadała:

— Sumiennie wam rzeknę, kumotrze, że pomyslenia nijakiego na nikogój nie mam. Choć mi w duszy coś gada, że to nie bez kozery. Świadomo wam, stary sypiał w stodole. Rano wstałam ja, wstała Marynka, dziecko... Wicka nie widać. Pchnęłam Zośkę do stodoły... wraca, peda, że ojca niema. Może poszedł w pole... myśle. Czekam, czekam... nie widać... Tknęło mnie coś... biegnę sama... wpadłam na obórkę, patrzę... aż mnie zimno obleciało... Stary siedzi nachylony nad przyciesią.

— Hm! hm!—mruknął Wach.

— Jakby czego szukał. Podeszłam bliżej... patrzę... a tu kawałek przyciesi oderwany, jakby kto siekierą podważył.

— Mówiłem... złodzieje...

— Ja do starego... chcę pytać, a on bledziusienki jak ściana! Wołam: Wicus! co ci? A on nic. Zerwał się jeno, spojrzął na mnie tak jakoś dziwnie... rozkrzyżował ręce, uleciał parę kro-



ków ku obórcę; ja za nim w te pędy, wołając. Dopadł do stajni, ale go widać już siły opuściły, bo padł jak długi... ani ręką, ani nogą!

— Dziwne...—rzekł Wach, kiwając głową.

— Chciałam się zadrzeć na dzieci, ale i mnie z razu w piersiach zaparło — opowiadała dalej Grzędzina. — Może z pacierz upłynęło, zanim się zbaczyłam. Zaczęłam starego trząść, a potem dzieci nadleciały...

— Więc przycieś podważyło? — spytał Wach.—Rzeknijcie rzetelnie. Wincenty nie byli przez grosza... Pewnikiem...

— Ja też sama tak myślę. Było trochę srebra, co stary dla Marynki na wiano chował. Ale świadomo wam, kumotrze, skryty był... i ja, chociaż żona, nie miałam żadnego dostępu. Ale mi wiadomo, że przez pieniądze nie był...

— I ja myślę tak samo. Po głowie mi się snuje, że kto wie, czy to nie ono śrybło było pod przyciesią zachowane, i...

— Przyszedł zły człowiek, podpatrzył i zabrał — dokończyła Grzędzina i znowu w płacz uderzyła.

— Cichoście, kumoska! Cudza krzywda zawsze bokiem wychodzi, a kradzione nie pasie. Powoli wyjdzie szydło z worka — pocieszał.— Teraz najpilniej staremu pomódz, bo się chłopisko ze zmartwienia a strąty zapamiętało. Słuchajcie, Wincenta — dodał po chwilowym namyśle, — matka jesteście, to was może zabołec, ale niechta! Powiedzcie, tak prawdę: nie macie pomyslenia na

Szczepka, że to on spenetrował, gdzie stary grosze chowa, podszedł nocą i wybrał?

Grzędzina załkała głośniej.

— Wy wszyscy na tego Szczepka! — zaczęła po chwili. — Nie bronię ja go. Robota w chałupie go parzyła, poszedł między ludzi, na swoje, to prawda. Czasem, bywało, ze starym powojował... to także prawda; ale co do tego... to nie! Już go ze dwa miesiące we wsi niema, a zresztą skądby mógł wiedzieć o skrytce? Ja sama, sumiennie mówię, kumotrze, nie wiedziałam: ma stary grosze, czy nie ma. Widzi mi się, że musiał mieć, ale pewności żadnej niema.

— A przycieś? hm? — wtrącił Wach.

— A czy ja wiem, moi drodzy! może na ten przykład złodzieje chcieli się dobrać do gądziny! Czy to koniecznie za pieniędzmi przyjść mieli?

Wach potrząsnął głową, bo wiedział, że kobieta coś kręci, ale już nie pytał o więcej, gdyż właśnie nadchodziła Kurkowa ze starą Marcychą.

Weszli wszyscy czworo do izby, którą Marynka zdążyła już uprzątnąć.

— Śpi... — rzekł cicho siedzący przy łóżku Grzędy Capiga.

— To i lepiej — odrzekła Marcycha: — na śpiący jeszcze lepiej urok odczynić...

— Głupiecie wy, z przeproszeniem! — burknął Wach! — Urok! gusła! niechrześcijańska rzecz! Wincenty miał ano jakieś zmartwienie... żółć się



w człeku rozlała.. Krew zakrzepła i na mowę padło... Trza okowity z tłuszczem przesmażyć, a nogi rozetrzeć, to mu ulży... ale nie odczynienie... A jak będzie trza, to się po doktora pośle!

Więc Marcycha, która się już do odczyniania uroku zabierała, skrzywiła się na taką mowę Wacha i byłaby na pewne na swoim postawić chciała, ale na podwórku zatętniało i za niedługo wszedł do izby zdyszany Gajda, mówiąc:

— Dobrodziej jadą!

Zerwali się wszyscy na nogi i do drzwi, aby księdza powitać.

Niebawem przed chałupą Grzędy zaturkotał wózek, wiozący tokarskiego plebana i organistę. Pokłękli wszyscy—i proboszcz, siwy jak gołąbek, wszedł do izby, aby coprędzej chorego na duchu pokrzepić.

Ocknął się Grzęda, zbudzony głośnym lamentem żony, która się dobrodziejowi do nóg rzuciwszy, po swojemu zawodzić zaczęła.

Zmógł się chory po przespaniu o tyle, że głowę nad poduszkę uniósł i na łokciach wsparł na posłaniu przysiadł.

Ksiądz proboszcz, któremu już Gajda na plebanii potrosze o wypadku opowiedział, przeżegnawszy chorego Krzyżem Świętym, gdyż o głośniejszej spowiedzi nie mogło być mowy, udzielił Grzędzie Olejów Świętych, odmówił modlitewkę, którą wszyscy na klęczkach powtarzali, i tak ubezpieczywszy duszę chorego, jął się wypytywać o całe zdarzenie.

Żeby chorego, który znowu z sił opadł, a oczy przymknął, nie niepokoić, skinął na Grzędzinę, Wacha i Capigę, aby wyszli z izby, i przysiadłszy na przyźbie domu, z troskliwością dopytywał o wszystko.

Więc Wach, chłop mowny a otwarty, opowiedział wszystko, niczego nie pomijając, jako Grzędę na obórcie bez życia leżącego znaleźli, jak mu zmartwienie mowę odebrało, bo się ktoś do stajni dobierał, a przycieś podważył; że pewnikiem Grzęda pod przyciesią pieniądze chował; tylko o Szczepku nie wspomniał, bo nie chciał na dziecko kolumnii rzucać, posądzając je o zabranie ojcowskiej krwawicy.

I proboszcza zadziwił cały ten wypadek; Grzęda był chłop ściśliwy, ale znowu się tak w pieniądzech nie kochał, żeby aż po ich stracie zaniemódz; powstało więc w plebana głowie podejrzenie, że na dnie tej sprawy jakieś inne zmartwienie ukrywać się musi. Nie wydał się jednak z tem, tylko poleciwszy posłać po doktora, zadysponował, aby głowę chorego przewiązać mokrą chustą, a w nogi flaszę z wrzącą wodą włożyć, obiecał także wina z plebanii przysłać.

Więc Grzędzina poczęła dziękować, dzieci także czepiały się rąk proboszcza, calując.

— Niema za co! niema za co! Obowiązek kapłański! — bronił się staruszek, zabierając się do odjazdu.

Na wyjezdnem jednak, jakby sobie coś przypomniał, zwrócił się do Wacha:



— Pamiętajcież posłać po doktora. Przy ratunku choremu nic nie będzie. O ile się na tem poznałem, atak apoplektyczny nie był silny. Pochoruje czas jakiś i przyjdzie do siebie. Najgorzej tylko z gospodarstwem... Żniwa... Kobiety same nie dadzą sobie rady...

— Pewno, pewno, ojciec duchowny — potaknął Wach. — Żniwa... a i Ś-ty Bartłomiej niedaleko... siewy za pasem... jak się choróbsko przewlecze...

— To też mam nadzieję, że, jako sąsiedzi i chrześcijanie, nie opuścicie biednej Wincentowej. Powinniśmy się wszyscy wspierać wzajemnie.

— Ja ta już o tem myślałem, z przeproszeniem księdza dobrodzieja. Bośmy z Wincentym przecie krewniacy—rzekł Wach. — Ale zawdy bez gospodarza w takim czasie będzie bieda.

— I ja się nie wymawiam—wtrącił Capiga.— Mają Grzędowie jęczmień na pniu, to się go przed wieczorkiem skosi... ale bez chłopca w chałupie się nie obejdzie.

— Zapewne, moi drodzy. Pomoc doraźna dużo znaczy, i cieszy mnie, że was tak ochotnych do dobrego uczynku znajduję. Ten to, ten owo, i na razie jakoś będzie. Jakby zaś Grzędzie lepiej nie było, to trzeba jakiś sposób obmyślić. Przecież Grzędowie mają syna...

— A mają-ć, mają-ć!... ale latawiec, gdzieś między ludzi poszedł, bo mu się przy gospodarstwie cniło—rzekł na to Wach.

— To źle, to bardzo źle—mówił proboszcz.— Przypominam sobie... Szczepan mu na imię. Urwis był dzieckiem; pamiętam, natarłem nieraz matce uszu za niego.

— Oj, święte słowa Dobrodzieja; bo też, prawdę mówiąc, to Grzędzina winna, choć to moja kumoska—rzekł Capiga.

— Chłopaczysko rozpuszczone było od młoda, jeno za ptakami a muzyką, a Wincenta wszystko łądziła a ukrywała przed starym, to też i wyrósł na ladaco, co go w chałupie utrzymać nie było można—dopowiedział Wach.

Zamyślił się proboszcz i rzekł po chwili:

— Wszystko to prawda, moi drodzy, ale źle naprawić zawsze pora. Zawiniła Grzędzina, nie trzymając syna w karności... Niech to będzie nauką dla innych, ale swoją drogą Szczepana sprowadzić trzeba. Przecież to syn i jednak do tego. Niechże teraz chorego ojca pielęgnuje, a matce i rodzinie będzie pomocą. Niech wraca, jak ów syn marnotrawny! Nie trzeba, moi kochani, nigdy wątpić o poprawie!... Ludzka rzecz błądzić... Pan Bóg miłosierny a wszechwiedzący. Może to z woli Bożej spadło to nieszczęście, aby zbłąkaną owieczkę na dobrą drogę naprowadzić—przedstawił proboszcz.

Sklonił się Wach do kolan, a tak mu słowa kapłańskie do serca trafiły, że choć Szczepka nie lubił i w poprawę jego nie bardzo wierzył; choć mu po głowie chodziło, że jeśli Grzędów okradli, to mógł i Szczepka w tem rękę uma-

*Surdutowiec.*





czać, zamknął w sobie podejrzenie i wątpliwość.

— Jak Dobrodziej każe, tak się robi. Zresztą będę miał oko na wszystko... Czy aby będzie chciał wrócić, bo mu ta gospodarka nie pachnie?

— A gdzie on jest teraz?—spytał pleban.

— Pono w Dąbrowie w fabrykach—objaśnił Capiga.

— To ja sam do zarządu lub do znajomego mi miejscowego księdza proboszcza napiszę z zawiadomieniem. Jeszcze dziś to zrobię. List dojdzie za dwa dni. A teraz bywajcie zdrowi. Pamiętajcie posłać po doktora zaraz, a jakby, nie daj Boże, było gorzej, dać znać na plebanię. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, Amen!—odpowiedzieli Tokarzanie i wózek z księdzem proboszczem potoczył się ku plebanii.

Wiść o wypadku u Grzędów rozeszła się szybko po wsi. Kurkowa, idąc po Marcychę, opowiedziała kilku kobietom; Gajda, jadąc na plebanię, także; a i przyjazd księdza proboszcza zauważyli ludzie, więc jaki taki skoczył z pola przez ciekawość i z dobrem słowem a pocieszeniem, bo stary Grzęda miał mir i poszanowanie u ludzi. Wkrótce też przed chałupą Grzędów zebrała się gromadka Tokarzan, i nuż radzić i debatować. Jak to nieraz bywa, bo o słowa nie trudno, jak zaczęto rozmyślać a dopowiadać jeden drugiemu, tak zaraz urosło, że Grzędę zło-

dzieje musieli napaść, pobić, że się ledwie do chałupy zawlókł. Nawet Józek Zabiegała, co konie pasł na smugu, opowiadał, że widział trzech ludzi z siekierami, jak co tchu biegli na przełaj ku lasowi.

Potwierdził słowa Zabiegały Herszla Łucik, co się także, zwyczajnie jak żyd ciekawy, między ludzi wkręcił.

— Prawdę mówi Józek — upewniał. — Pod *chejrym* i ja widziałem. Było ich trzech... chłopcy jak dęby... Pewnie oni Wincentego sprawili...

— A kiej-ż to było? — spytał Wach, który z niedowierzaniem słuchał tych rozmów.

— Kiej? Czy ja to w nocy na zegarek patrzę? Wyszedłem przed dom, księżyc świecił i widziałem... Była może druga po północy, może więcej...

— Kiedy Zabiegała mówił, że już świtało...

— To co z tego? Mogli się gdzie zatrzymać. Zresztą nie będę się upierał przy swoim—odburknął żyd.

— Już to tu prawdy się nie dowiecie, chyba jak Grzęda przemówią—zauważyła Kurkowa.

— Żeby Bóg dał!—odezwano się w gromadzie.

— To ciężka słabość. Trudno z takiego bólu wyjść—zagadał znowu Herszla.

— Nie strasz-no ludzi, Herszla!—skarcił Capiga. — Da Pan Bóg, przyjdą Wincenty do siebie i wszystko się wykryje. Ksiądz proboszcz mó-



wił, że, byle ratunek dać, to się nic złego nie stanie.

— Nie stanie? A czy ksiądz doktor?

— Stul gębę, żydzie! Nie wrażaj się, kiej cię nie pytają!—huknął zniecierpliwiony Wach.

Zakręcił się Herszla, i odszedłszy parę kroków, znowu z innymi wdał się w rozmowę. Żle mu patrzyło z oczu; chodził od jednego do drugiego, dopytywał się, jakby się chciał dowiedzieć, co też ludzie o całym zdarzeniu sądzą.

Ku południowi Jędrak Matusiak, co się koło Marynki Grzędzianki kręcił, a ludzie mówili, że mu ją już Wincenty przyobiecał, wrócił z miasta z doktorem.

Postawili choremu pijawki za uszami, synapizma na plecach i piersiach. Ulżyło się Grzędzie i siność z twarzy zesza. Doktor zapisał lekarstwo, i zapewniwszy, że chory wkrótce wróci do sił, ostrzegł tylko, że do roboty, zwłaszcza ciężkiej, to już zdatny nie będzie, bo mu paraliż krzyża nadwerężył.

— Mowa mu wróci, chodzić będzie, ale pracować, jak przedtem, to bardzo wątpię, czy będzie mógł. A pamiętajcie mieć codzień dla chorego rosół — pouczał doktor strapioną Grzędzinę. — W takiej chorobie trzeba troskliwie pielęgnować, nie martwić chorego, nie gniewać...

Po odjeździe doktora, Herszla, który się ciągle około chałupy uwijał, spytał wychodzącej z domu Marynki:

— Jakże? Cóż doktor powiedział?

Opowiedziała mu wszystko. Zerknął zyzem, poprawił na rudej głowie czapki, i wysunawszy się ukradkiem, puścił się ścieżką ku lasowi.

Obejrzał się raz i drugi, czy go kto nie podpatruje, wreszcie znikł z oczu.

## II.

Był poza wsią, na pół drogi od miasteczka, las duży, nie tknięty jeszcze pod te czasy siekierą — świerki, sosny, jodły jak świece, i podszywka z leszczyny, gąszcz straszny. Bywało, zagzone bydłę wpadnie do lasu, to je dni parę szukać trzeba, odnaleźć trudno, a i człowiek idący o zmierzchu zabląkać się może.

Ludzie z okolicy mówili, że w „czarnym borze,” bo tak ów las nazywano, czasem i zły człowiek się trafi, i taki, co to na cudze dobro dybie, schronisko znajduje. Znajdowano też nieraz w onym borze skradzioną gadzinę, czasem tylko ślady, że tu złodzieje bywali,—przygaste ogniska, szafasy choinowe i inne oznaki, świadczące o kryjówkach. Nawet strażnicy robili często-gęsto obławy w gąszczu i nie rzadko chwyтали takich ptaszków, co się to dnia białego, słonka jaśniejszego boją, a cieniowi i ciemności radzi.

To też niejeden, gdy mu wieczorkiem droga przez las wypadła, poganiał szkapięta, oglą-



dał się na wszystkie strony, żeby się corychlej w szczerze pole wydostać.

Herszla, dobiegłszy do lasu, nie bał się jednak. Jakiś czas szedł gościńcem, a potem skręcił ścieżynką w największy gąszcz. Uszedłszy ze dwieście kroków, przystanął i jął nasłuchiwać. Cicho było, tylko las gwarzył, szumiąc jednostajnie. Herszla zaczął się rozglądać, jakby upatrując jakiegoś śladu, wreszcie dojrzał na jednym drzewie naciętą korę, podszedł bliżej, zdjął sakwę z pleców, wydobyl z niej flaszkę wódki, bochenek chleba i serek, a potem przyłożywszy kułak do ust, huknął, nie przymierzając jak lis, kiedy się ma na odwilż: „hau, haupa!”

Na hukanie odpowiedziało echem hukanie. Żyd parę razy powtórzył sygnał, i za chwilę zatrzeszczały rozsuwane gałązki leszczyny i z gąszczu wyszedł parobczak smagły, tęgi, niby dębczak. Miał na sobie palto granatowe z wytartym aksamitnym kołnierzem, spodnie w kratę i czarny kapelus z połamanem rondem, w ręku kij sękaty, którym krzaki rozchylał.

Był to Szczepiek Grzęda.

— No i cóż ta, Herszla? — zaczął, podchodząc do żyda i przecierając zaspane oczy, którym niespokojnie wodził dokoła.

— A co ma być? Wszystko dobrze, spokojnie.

— Nie spostrzegli się? nie szukają?

— Kto będzie szukał? W chałupie taki gwałt, że strach.

— O! trza było przycieś przysypać, ale nie było czasu, bo stary ocknął... Więc pedacie, że dostrzegli?..

— Dostrzedz nie dostrzegli, ale się czegoś domyślają. W chałupie u was cała gromada. Radzą a radzą, a najbardziej przewodzi Wach. I po księdza posyłali—opowiadał Herszla.

— A po cóż księdza?—spytał, przysiadając pod krzakiem, Szczepiek.

— Nie wiesz? Toś ty już uciekł na ten czas? Toć starego tknęło i leży jak kłoda.

Zerwał się Szczepiek na równe nogi.

— Nie żartuj, żydzie! — krzyknął. — Ja nie wiem nic. Wziąłem srebro i w nogi, ale ojca nie tykałem!

— A kto ci, głupi, mówi, żeś tykał? Siadajno, napij się wódki... pogadamy... Taki się z ciebie gorączka zrobił..

— Bo po co mi ojca zadajecie?

— Kto zadaje? Rzekłem tylko, że chory. Przecie widziałem na własne oczy — mówił Herszla, przypijając do Grzędziaka.

Szczepiek wypił także, przekąsił, splunął przez zęby i znowu pytał:

— Opowiedcież wszystko dokumentnie, bo na mnie aż skóra cierpnie—prosił.

Więc Herszla zaczął wszystko szczegółowo opowiadać: że starego Grzędę w świtanie leżącego pod stodołą znaleźli; że mu mowę odebrało; że proboszcz do chorego zjeżdżał. Następnie także, że cała wieś rozmyśla nad tem, skąd na



Grzędów nagle takie nieszczęście spadło; że matka strasznie sturbowana, bo w żniwa bez chłopskiej głowy ani weź; że uradzili po Szczepka napisać, aby do chałupy wracał, a gospodarką się zajął.

— Nie głupim!—mruknął na to Grzędziak.— Jeszczeby mnie palcami wytykali... Albo mi ta w fabryce źle, żebym miał w chałupie harować...

— Nie zawróć ty głowy fabryką, Szczeppek!—odparł żyd.—Ja ci radzę, żebyś do chałupy wrócił. Stary pewnie już nie wstanie, tobie się przecie gospodarstwo patrzy, boś jedynak. Czy ci to źle, że będziesz miał wszystko w garści?

— Przecie... Ale jak ojciec pozdrowieje, to znowu będzie huruburu na mnie. A prawdę rzeknąć... jakby się z tem srebłem wydało...

— Nie wyda się. Ja w tem... A dużo go jest?— spytał teraz Herszla, łypnąwszy chciwie oczami.

— Nie rachowałem, ale widzi mi się sporo bez mała kwartowy garnek.

— Srebło teraz tanie—mruknął żyd.

— Już ja go tam w fabryce spuszczę.

— Szczeppek! Ej, Szczeppek! A pamiętasz, coś obiecywał? — przypomniał Herszla i znowu przypił do parobczaka.

— Obiecywałem... Niechby i tak było—odparł Szczeppek, przełknąwszy haust wódki, — ale z was, Herszla, oszukaniec... Siłaż dacie?

— Niechże wprzód ujrzę, trzeba porachować. Któż to kota w worku kupuje?—tłómaczył Herszla.

Sunął Szczeppek w krzaki i za chwilę wrócił, niosąc gliniany garnek w ręku.

Zaczęli liczyć.

— Stary musiał te ruble dawno zgarniać, bo aż pośniedziały — zagadnął żyd. — Takie pieniądze to nawet teraz kursu nie mają. Trzeba przetopić.

— Srebło zawdy srebłem — odparł Grzędziak.

— Tak się to gada, ale spróbuj-no taką starzyzną między ludzi puścić! Zaraz będą pytać: a skąd? a gdzie?... i poszlaka gotowa. Jabym ci, Szczeppek, nawet nie radził próbować...—straszył Herszla.

Podrapał się Szczeppek po czuprynie. Słowa żyda utkwily mu w głowie.

— Juścić ja wiem—rzekł po chwili,—że z taką rzeczą trza ostrożnie. Dlatego też zrobiłem przedtem z wami umowę... inaczej nie brałbym się za robotę. Siłaż dacie?

— Słuchaj-no, jedno słowo... dam... całe... dwadzieścia... pięć... papierków...

— Oszalałeś, żydzie, czy co? Za garnuszek srebra? A toż samych rubli jest ze czterdzieści, a dwuzłotówek, a innego drobiazgu!—wybuchnął Grzędziak.

— To spróuj gdzie indziej. Chodź od jednych do drugich... Może więcej dadzą... A tymczasem Wach, bo on sztrasznie na ciebie zacięty, przewącha i będzie ładny interes... Wtedy to już nie masz po co wracać do gospodarki! Kto wie,



czybyś nawet swoją chałupę kiedy ujrzał. Za taką rzecz, Szczepiek... pamiętaj to sobie... parę lat kryminału...

— Teraz straszycie, a kto mnie pierwszy namówił? he? — przerwał Szczepiek. — Warto mi się było za byle co paskudzić!

— Nie wyrzekaj! nie wyrzekaj! bo ci się i tak rarytnie udało. Zresztą dam ci całe trzydzieści rubli... Tobie się widzi, że ja na tem majątek zrobię... Co to zresztą wszystko warte? Dajmy na to... sześćdziesiąt z wielkim kłopotem i strachem.

— Choćby...

— To co z tego? Jaka była umowa? Pół na pół? Tak to trzymasz słowo? Czy ja więcej chcę od ciebie, jak połowę, jak to, co mi się słusznie należy? Słuchaj, Szczepiek, moje ostatnie słowo... Dam trzydzieści pięć! Chcesz... bierz! nie, to bywaj zdrów! Ja już grosza nie dołożę.

Zamyślił się Grzędziak. Markotno mu było dać się okpić, bo choć dokumentnie nie wiedział, ile ukradziony ojcu pieniądz miał wartości, domyślał się, że go Herszla oszukuje. Nie było jednak rady. Bał się na swoją rękę taki grosz między ludzi puszczać, i w końcu dobił z Herszlą targu.

Herszla wypłacił umówioną sumę, potrąwszy sobie tylko rubla za wódkę i przekąskę.

Przy potrąceniu Szczepiek znowu wybuchnął i nawet pogroził Herszli, ale żyd, mając pieniądze w kieszeni, nie dbał już o to.

— Nie rób awantur, głupi!—mówił.—Nieraz jeszcze będziesz potrzebował mojej pomocy. Tobie się wydaje, żeś mało dostał? Dostałeś trzy razy tyle, ileby ci z prawa przypadło.

— Jakto? A cóż Herszla ma za prawo do ojcowskich pieniędzy?

— Kto mówi, że ja mam prawo? ale są inni, co mają prawo. Jest was przecie kilkoro w chałupie; jakby na ten przykład te pieniądze poszły do podziału między rodzeństwo, ileby na ciebie wypadło? Nie całe dziesięć rubli. A tobie jeszcze źle! Słuchaj, Szczepiek, ja tobie dobrze życzę; zamiast robić ze mną kłótnię o głupie parę rubli, co mi się tak po słuszności należą, wracaj lepiej do chałupy, bo z ojca już nic nie będzie. Obejmiesz gospodarkę, to jej już z rąk nie opuścisz—pouczał żyd; — kto pierwszy, ten lepszy. Słuchaj mnie, bo Herszla dobrze radzi.

— Ja też myślę kole jutra...

— Ani się waż!—przerwał Szczepkowi żyd.— Co nagle, to po dyable! Ty potrzebujesz wrócić do fabryki, boby ludzie spenetrowali, żeś się gdzieś w pobliżu kręcił. Przesiedzisz w fabryce jaki tydzień, zaczem nadejdzie list z domu, bo, jak ci już mówiłem, mają pisać po ciebie, no i wtedy przyjedziesz niby na wezwanie. W ten sposób nikt na ciebie palca nie zakrzywi i żadnych domysłów nie będzie...

— Przecież nikt nie widział, a ojciec, skoro mu mowę odebrało, choćby nawet co wiedział, także...—przerwał Grzędziak.



— Ale zawdy i pozoru wystrzegać się należy. Ludzie pleść lubią, a ty, Szczepek, nie masz miru w gromadzie.

— Co mi tam! Jak obejmę gospodarkę, wszystko się przeinaczy — mruknął parobczak, i schowawszy niedojedzony kawałek chleba w kieszeń paltota, zabierał się do drogi.

— A pamiętaj udawać, żeś o niczem nie słyszał — przypominał jeszcze na odchodnem Herszla.

— Nie bójcie się! Pary z gęby nie puszczyć! — upewniał Szczepek.

Słońce skręcało już ku zachodowi, kiedy się dwaj współnicy rozstali. Herszla, zawinawszy skradzione przez Szczepka srebrniki w worek, boczną ścieżką puścił się ku miasteczku.

— *A szwarc-jur!* — mruczał do siebie. — Własnego ojca okradł i chciał jeszcze, żeby mu co do grosza zapłacić... I tak dałem za dużo. Dla takiego łajdaka dość przecie paru złotych na wódkę...

### III.

W tydzień po opisanych wypadkach żniwa miały się już ku końcowi, bo pogoda posłużyła i jaki-taki zakrzątnąwszy się żwawo, pszenicę a jęczmień do stodoły ściągnął. Po ścierniskach pasło się już bydło, a niejeden za pług chwycił i rżyska za świeża pokładał, aby się rola pod jesienny zasiew odleżała.

W sobotni wieczór, po robocie, w tokarskiej karczynie zeszło się kilku gospodarzy i parobków, zajrzało parę dziewczek, a że się na podorędziu grajek trafił, więc któryś z młodszych a ochotniejszych pogadał ze skrzypkiem i tak ni stąd ni zowąd zrobiła się zabawa.

Zanuciły skrzypki, zawtórowały im basy, puszczono się w taniec, przyśpiewując wesoło, boć każdemu po robocie miłą jest rozrywka.

Kiedy się tak młodzi kręcą w oberku, a starzy gwarzą o gospodarskich sprawach, otwierają się drzwi do karczmy i wchodzi podróżny, na jakąś obcą modę przyodziany.

Buty lakierowane świecące, spodnie spuszczone na cholewy po same kostki, surdut z rogowymi guzikami, a kapelusz, którego, wchodząc, nie zdjął z głowy, z szeroką taśmą i zatkniętem za nią piórem.

Podróżny, wszedłszy, nie pochwalił Pana Boga, jak to u dobrych ludzi we zwyczaju, jeno zaczął się ciekawie rozglądać po wszystkich.

W karczynie było trochę ciemno, bo się tylko jedna lampka za szynkwasem tliła, więc też w półmroku twarzy przybysza dokładnie rozpoznać nie było można. Dopiero po małej chwili Florek Wąsik, co najbliżej drzwi z Zośką Wachówną przystanął, przyjrząwszy się dobrze, zawołał:

— A toć to Szczepek Grzędziak!

— A juści ja! Cóż tak dziwnego, żeś gębę rozwalil jak wrota? Albo mi to do was



zajść nie wolno, czy co? — burknął hardo przybyły.

Na te słowa posunęli się i inni, poznawszy Grzędziaka, a Jasiek Gajda, przystąpiwszy do przybyłego, przemówił:

— Czegóż się ty, Szczepku, zaraz na powitanie sierdzisz? Przecie ci nikt marnego słowa nie powiedział. Widać, bracie, shardziałeś między obcymi!

— Nie shardziałem, jeno mnie gniew ogarnął, bo zamiast czego, to taki Florek patrzy na mnie jak na wilka... Człowiek się naterał między ludźmi, wypracował, nie na to przecie, żeby nim byle kto pomiatał...

— No, no! — uspokajał Gajda. — Nikomu nawet w głowie nie powstało dotykać cię na honorze. Zwyczajnie, nie widzieli cię ludzie dawno, więc ich z razu zdziwienie ogarnęło.

— No, no! — bąknął udobruchany Szczepku, a udając z głupia frant, spytał:

— Cóż ta we wsi słyhać?

— Alboś to ty o niczem nie słyszał? — zagadnął Wąsik.

— Pismo cię nie doszło? — dodał Gajda, patrząc Grzędziakowi w oczy.

Najgorszemu kłamstwo z trudnością przechodzi przez gardło, więc też i Szczepku zmieształ się tem pytaniem, i wlepiwszy oczy w podłogę, chwilę milczał, jakby się namyślał, co mu odpowiedzieć wypada. Wreszcie przypomniawszy sobie o przestrodze Herszli, zaczął:

— Juści nie słyszałem o niczem, a list, choćby i był jaki, moich rąk nie doszedł, bo na ten czas w fabryce nie byłem. Chodziłem z majstrami na ciesielkę pod pruską granicę, ale mi się cniło do swoich, więc jak się parę groszy uzganiało, myślę sobie... teraz żniwa, trza ojców nawiedzić.

— I dobrześ zrobił — przerwała Zośka Wachówna, ale ją Gajda za rękaw pociągnął, więc ugryzła się w język i nie dopowiedziała zaczętego zdania.

Gajda nie chciał na razie martwić Szczepka, szukał też w głowie sposobu, żeby go delikatnie o nieszczęściu a chorobie starego Grzędy uwiadomić.

Tymczasem otoczyli Tokarzanie Szczepka wokół i nuż wypytywać o to i owo. Przyglądali się też jego odzieży, bo prostym, nawykłym do swojskiego stroju ludziom dziwne było takie przebranie.

A Szczepku opowiadał, łącząc coniemiarą.

— Mądremu — mówił — nigdzie źle nie będzie. Ja, na ten przykład, tu we wsi musiałbym od rana do wieczora, o serze i kawałku suchego chleba, pracować; a tam, moi ludzie, zarobki takie, że na najlepsze jadło starczy. Byle dziecko pół rubla sprofituje, a chłop rosły a zdatny... rubla i więcej. Mnie się trafiła robota na wydział, to czasami w tydzień dziesięć papierków kapnęło.

— Dziesięć papierków! — powtórzyli ze zdziwieniem słuchacze.



— Jak mnie tu widzicie — przysięgał się Grzędziak. — A w dodatku i robota nie ciężka i odpoczynek jest w porę.

— Toś musiał trochę grosza oszczędzić? — spytał jeden ze starszych.

— Ma się parę papierków...

— Ho, ho! patrzcie! — dziwili się Tokarzanie.

— To i dobrze — wtrącił na to Gajda, — bo się teraz w chałupie przyda.

— A cóż się takiego stało? Przecie z „nowego” nie powinno grosza braknąć... — spytał, nibyto niczego się nie domyślając, Grzędziak.

Byłby mu może już teraz Gajda całą prawdę wyjawiał, lecz mu przerwał Florek Wąsik i kilku innych, których dziewczęta do tańca namawiały.

— Gadata po próżnicy, a skrzypek siedzi z założonemi rękami. Dalej, chłopcy! i ty, Szczeppek, z nami!

Mówiąc to, ujął najbliższą dziewczynę i puścił się, przytupując i śpiewając:

Krakowiaczek jeden  
Miał koników siedem —  
Sześciu do dziewczyny,  
A w stajence jeden.

Poszli za nim wszyscy, chciał i Szczeppek. Zbliżył się nawet do jednej z dziewczek, Tereski Jaglanki, i w pół ją objąwszy, już miał rozpocząć taniec, gdy go ktoś za poły chwycił i przytrzymał.

Obejrzał się Grzędziak — patrzy, a to Gajda, który przystanął pod ścianą, a na niego mruga i rękami przyzywa.

— Czego chcesz? — warknął i chciał już brzydkim słowem zapłacić, bo go złość brała, że Gajda śmiał mu przeszkadzać, ale się opamiętał, i puściwszy Tereskę, podszedł ku niemu. — Czego chcesz? — spytał powtórnie?

A na to Gajda:

— Nie bierz się do tańca, Szczeppek; lepiej umykaj do chałupy. Ojczyisko ci strasznie zanęmogli... już przez tydzień, albo więcej, ani ręką, ani nogą...

— Czemuś mi tego od razu nie powiedział? — przerwał Szczeppek; lecz zmiarkowawszy, że mu należy udać zmartwionego, dodał miększym głosem: — A cóż im się stało? Naderwali się może? Ja zawsze powiadam, że ta wasza chłopska robota to na nic. Zapracuje się człowiek, zdrowie straci, a w kieszeni dziury! Więc pedasz, że im nic nie lepiej?

— Trochę się to tam zbaczyli, ale niewiele. A co chodzić, to całkiem nie mogą. Doktor pedasz, że żyć będą, ale już do zdrowia nie przyjdą...

Wysłuchał tej mowy Szczeppek, głową pokręcił i, niby bardzo zafrasowany, rzekł:

— Niestarzy jeszcze, mogli sobie pożyć czas jakiś. Kiedy tak, to trza będzie iść, do chałupy zajrzeć, a matkę pocieszyć; teraz to znowu wszystko spadnie na moją głowę...



— Pewnie! bo któżby wedle gospodarstwa chodził?—potaknął Gajda.

— Nie bardzo mi się to uśmiecha; bo jedno, że odwykłem od grzebania w ziemi, a drugie, dla człowieka, co się zna na rzeczy, siedzenie na wsi do niczego; ale trudno... Przecież swoich tak, bez nijakiej rady, nie ostawię...

— Twoja prawda, Szczepek, a przytem wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej!

— Mnie ta wszędzie dobrze było — odparł na to Grzędziak, i rzekłszy: „bywajta zdrowi,” poszedł ku chałupie.

U Grzędów świeciło się jeszcze. Szczepek podszedł do okien i spojrzął do wnętrza. Wstrząsnął się cały, jakby go kto zimną wodą oblał.

— A to starego zważyło! Żał mu grosza — mruknął, przyglądając się przez szyby leżącemu na pościeli ojcu.

Stary Grzęda przez jeden tydzień choroby pożółkł jak wosk, schudł strasznie, a oczy miał ciągle otwarte i słupem stojące.

Strach zdjął Szczepka, odezwało się w nim sumienie i zapukał do chałupy.

— Kto tam?—odezwała się Grzędzina.

— Swój! Ja! Szczepek!

— Chwała Ci, Boże! żeś, synaczku, przyszedł! — wybuchnęła kobieta, i wybiegłszy przez sieni, nuż jedynaczka ścisnąć i całować. Uścisnęła go raz, drugi, i lży jej stanęły w oczach.

Rozebrały lży matczyne Szczepka jeszcze bardziej. Wspomnił sobie dziecięce szczęsne

lata, kiedy to na balyku chodził; przyszły mu na pamięć dni owe, kiedy z matulą raz pierwszy do kościoła poszedł; wspomnił sobie, że ta matka kochała go z wszystkich dzieci najbardziej; że nieraz, gdy ojciec chciał go za jakie zbereżeństwo ukarać, stawiała w jego obronie... Wspomnił sobie to wszystko i zaczęła mu jakaś żalność po sercu chodzić, smutek ogarniać, że tej ręki matczynej, co go wypielegnowała, z czystym sumieniem ucałować nie może.

Westchnął...

— Co ci to, synku?—spytała Grzędzina.

— Ojca mi żal—odpowiedział Szczepek półgłosem, jakby się wstydząc słów kłamliwych, bo mu troska o ojcowe zdrowie nawet w głowie nie powstała.

— Biedne my sieroty!—zaczęła znowu Grzędzina.—Ale chodź, synku, do izby. Późno już, pewnieś strudzony, a może i głodny? Zaraz ci mleka przewarzę...

— Nie chce mi się jeść — odpowiedział Szczepek.

— Do innegoś, synku, przywykł jadła... Żebym się była spodziewała, że dziś przybędziesz, zabiłabym ci była kogutka—tłómaczyła się Grzędzina, z lekka popychając przed sobą Szczepka ku sieni.

Weszli. W izbie na kominku dogorywało kilka głowienek. Młodsze dzieci już spały, tylko Marynka krzątała się jeszcze koło stołków.

— Szczepek przyszedł—rzekła Wincentowa



— Szczepek! tyżeś-to? — spytała Marynka i rzuciła się bratu na szyję.

Nieswojo było Szczepkowi. Witali go wszyscy tak serdecznie, a on w sercu krzywdę ludzką, krzywdę przeciw własnej rodzinie nosił. Radby był coprędzej usunąć się ludziom z oczu, musiał jednak powitać jeszcze ojca.

Podszedł do chorego, wziął go za bezwładną rękę i pocałował. Stary Grzęda z wysiłkiem skręcił głowę w stronę syna, wlepił oczy w twarz jedynaka, ruszył parę razy wargami, jakby chciał przemówić, ale wnet z sił opadł, przymknął powieki, tylko piersiami robił strasznie, aż mu w krtani charczało.

Na drugi dzień rano już wszyscy Tokarzanie wiedzieli, że Szczepek powrócił.

— To i dobrze — mówił Wach; — żeby się jeno ustatkował, będzie miał przynajmniej kto wedle roli chodzić. Przy słabych kobietach to zeszlaby gospodarka na psa. Zawdy co chłop, to chłop.

Przechodząc, wstąpił Wach do Grzędów, a spostrzegłszy Szczepka na obórcie, jął mu przedstawiać, że teraz na nim opieka ciąży nad rodziną całą.

— Powinieneś siostrom ojca zastąpić i matce być podporą. Ojczyisko się pewnie nie wygrzebie; jest szmatek ziemi, trza o niego zadbać.

A widząc, że się młody Grzęda nachmurzył, dodał:

— Nie gniewaj się, Szczepek, na starego; z dobrego serca to mówię. Co było, to było,

trzeba zapomnieć o lekkim chlebie, a wziąć się za cep, do pługa, jak ojce i praojce czynili. A i to ci jeszcze powiem, że do naszej roboty to taka odzież, jak twoja, na nic. Niema, jak sukmana, bracie!

Słuchał tych słów Szczepek—bo cóż miał robić; ale w duszy myślał inaczej.

— Pleć sobie, stary, pleć! — mruknął, gdy Wach, wypowiedziawszy co miał na sercu, poszedł do swej roboty.

Wieczorkiem Herszla niby przypadkiem zajął do chałupy Grzędów. Spotkali się z Szczepkiem przed bramą. Żyd szwargnął kilka słów.

W nocy Szczepek nasypawszy worek pszenicy, podźwigał go ku chałupie Herszlika.

Tak się rozpoczęła gospodarka Szczepkowa.

#### IV.

Dopóki żył stary Grzęda, było jeszcze pół biedy. Szczepek w robocie się zaniedbywał, ale przynajmniej breweryi z matką i rodzeństwem nie stroił.

Bo i do chałupy nie lubił zaglądać. Wpadał do izby jak po ogień, zjadał przygotowany posiłek i wynosił się zaraz. Do ojca też nie zbliżał się nigdy, nie zagadał, bo choć staremu mowy nie wróciło, skoro tylko Szczepka widział w izbie, ruszał się niecierpliwie na łóżku, przewracał, piszczał, a patrzył tak surowo na syna, że Szcze-



pek spuszczał oczy w ziemię, klął pod nosem i uciekał z izby jak oparzony.

Widziała to Wincentowa, ale myślała sobie: „Ojciec nigdy Szczepusia nie lubił, a teraz w chorobie to i o złość łatwiej.”

I przykro było babinie, bo syna kochała bardzo, ale nie chciała się sprzeciwić choremu, więc sama często-gęsto prosiła:

— Idź, synku, idź! Ojciec niekontent, że przy gospodarstwie niema nikogo.

— To niech sami wstaną i idą! — rzucił Szczepiek gniewnie, zbierał nogi za pas i wychodził, trzaskając drzwiami, aż się futryna chwiała.

Tak było do twardej jesieni. Stary Grzęda chorzał coraz bardziej, zżółkł, wysechł i tylko ostatnich siewów pozwolił mu Pan Bóg doczekać. Zmarł.

Teraz Szczepiek pokazał, co umie. Zaraz po pogrzebie zawołał Herszlę i przyodziewek po ojcu, nowiuteńki kozuch, kapotę, dwie kamizele wcale dobre z lnianego płótna, butów gospodarskich dwie pary — za psie pieniądze sprzedał. Matki pod ten czas w chałupie nie było. Może i lepiej się stało, bo oto broniącą łachów Maryskę, choć siostrę rodzoną — poprał, a gdy się matką zastaniała, poskarżył się obiecując, to zaklął tak siarczyście, że się zapłakana dziewczyna ze strachu aż w komorze przywarła. Tyle tylko wskórała, że jej się udało białą sukmanę, co ją nieboszczyk ojciec od święta przywdziewał, porwać i zachować.

Na drugi dzień znowu wrzało w chałupie. Wincentowa z Maryską lamentowały, bo oto Szczepiek gotowego ziarna dwa korce wziął, wóz wyładował, szkapy zaprząkł. Do miasta się wybierał.

Zabiegła mu drogę matka, prosiła, zaklinała:

— Szczepuś! a dyc w komorze pustki, trzaby do młyna! Więcej ziarna młóconego niema! Trza do młyna...

— Omłóćcie kijonką, a w chałupie przecie żarna są—burknął i pojechał.

Całe dwa dni go nie było, Wrócił wreszcie, szkapy zgonił, wygłodził, że aż się podściołu żreć chwyciły, ale za to na sobie miał nowy paletot z futrzanym kołnierzem, kaszkiet z lakierowanym daszkiem na głowie, futrzane rękawice na rękach.

Musiał wypić, bo ledwie konie wyprzągłszy, wszedł do izby buńczuczno, ujął się pod boki, i stanąwszy przed matką, zaczął z przechwałką:

— A co, matka! Widzicie, jak teraz chodzą gospodarskie dzieci?

Wykręcił się na pięcie dokoła, a potem krzyknął groźnie:

— Jeść!

Matczysko przełęcznione, nie wiedząc, jak sobie poczynać, nalała pośpiesznie przewarzonego mleka w miskę, dobyła z półek chleba...

Szczepiek popatrzył, splunął.

— Ja tego jeść nie będę!... Smarzyć jajecznicę! tylko okrasy nie żałować!



Siedzącą w kącie Maryskę złość zdjęła.

— A cóżes ty lepszego od nas, że mlekiem gardzisz?—odezwała się.—Widzicie go! delikatny!

Skoczył do niej Szczepiek. Dziewczyna schowała się za stół. Mniejsze dzieci zaczęły krzyczeć przeraźliwie. Podbiegła Wincentowa godzić. Schwyciła Szczepka za rękaw. Nuż prosić:

— Synku, daj pokój! Cichoj, Maryska! Zdrożony, to i lepszego jada potrzebuje... Mój Szczepuś, zaraz ci jajeczniczki sporządzę!

Jakoś się uspokoił, ale odtąd co dnia prawie kłótnie bywały w chałupie Grzędów.

Matka, jak matka, zносиła wszystko cierpliwie, czasem w kąciku rzewnie zapłakała. Nie żaliła się jednak przed nikim, bo ją i wstyd było; myślała sobie przytem, że się Szczepiek przecie usatkuje.

Ale Maryśce dopiekl nieraz tak do żywego, że dziewczyna, nie znajdując innego sposobu, często-gęsto między ludzi jakie słowo puściła z żalami na brata.

Zaczęli też ludzie przy okazji Szczepkowi docinać, że matki nie szanuje, rodzeństwo krzywdzi, a gospodarki nie pilnuje, tylko się po jar-markach włóczy.

Niewiele sobie z tego robił, bo zresztą ze swoimi zadawać się nie lubił, tylko sobie kompanów z miasta sprowadzał, lub sam do nich jeździł.

I tak przeszła zima. Nadeszła wiosna. Kto żyw wyległ w pole rzucić garstkę ziarna w świę-

tą ziemię. Wozili gospodarze na gwałt nawóz pod kartofle, bronowali przeschniętą rolę, przyorywali wiosenny zasiew. Błysnęły w wiosennem słońcu lemieszki pługów, zażegotały brony; wszyscy uwijali się na poletkach i półtankach od ranka do wieczora.

Tylko na działkach po nieboszczyku Grzędzie nikt nie postał.

Już u niektórych marcowy groch dobrze okrył ziemię, jęczmiona drugich piór dostawały, a ozimina w górę ku słońcu skoczyła, kiedy narzecie na Grzędowe stajonko wyjechał Szczepiek z pługiem.

Czarno przyodziany: w sukiennym kapeluszu, w butach, jakby się ziemi gołą stopą dotknąć wstydził, co przejechał parę razy pługiem, to przystanął. Skiby brał szerokie, raz z głębia, to znowu płytko, caliznę co parę kroków zostawiał. A klął i szkapy biczyskiem okładał, aż się rozlegało.

Przechodził w pobliżu Florek Wąsik. Widząc taką robotę, rzecze:

— Szczepiek, coś ci z pługiem niesporo?

— Albo co?

— Znać, żeś od oraczki odwykł.

— Albo co?—powtórzył Szczepiek chmurno.

— Rolę-ś spyskał, po takiej orce jeno oset a kostrzewa się zrodzi.

— Niech się zrodzi, co chce! Robię jak mi się podoba, bo moje.



— Nie koniecznie twoje, boś nie jedynek w chałupie—odpowiedział na to Florek.

Na te słowa Szczeppek chwycił za styk i dalej do Florka.

Nim się Wąsik spostrzegł, już go ściągnął przez plecy i drugi raz się zamierzył, krzycząc:

— A będziesz się do mnie wtykał, łapciuchu!? Będziesz gęby w chałupie liczył!?

Florek aż się przegiął z bólu; ale że parobek był silny, uchwycił napastnika w pól, aż zachrzęściało.

Szczepkowi także siły nie brakło, więc choć styk z ręki puścił, uwiesił się Florkowi u karku i do czupryny dobrał. Wąsik również pięści nie pożałował.

I tak szamotali się czas jakiś z zajadłością, aż obadwaj, jak stali, padli na ziemię.

Wąsik żwawszy, wyrwał się na wierzch, przycisnął Szczepka kolanami, że się ten wydobyć nie mógł, tylko głowę w świeżą rolę zarywszy, leżał, klnąc strasznie i odgrazając się.

— Puść, psiakrew!—wołał, wyrrywając się.

A Florek:

— Leż, psiawiaro! kiedy za dobre słowo kijem płacisz. Myślałeś, że, tak jak w chałupie, będziesz ludziom oczy wybijał! Poczujże za to chłopskie kolana!

I przycisnął jeszcze silniej, ale nie bił już, bo chciał tylko pokazać, że z sobą zadzierać nie radzi.

Szczeppek rzucał się i krzyczał na całe gardło:

— Puść, psiakrew!

Usłyszeli wreszcie krzyk ludzie i nadbiegli. Przyleciał Gajda, na poblizkiem poletku ziemniaki okopujący, i kilku pastuchów od bydła.

Wąsik puścił Szczepka i opowiedział, co zaszło. Szczeppek nic nie rzekł, tylko zęby zaciąwszy, włożył pług na włókę, skoczył na szkapy, i nie kończąc orki, odjechał.

Dopiero kiedy się o kilka staj oddalił, podniósł pięść do góry, pogroził w stronę Florka i krzyknął:

— Popamiętasz mnie ty, chamska duszo! Popamiętasz! Tymczasem wszystko na twej cacanej Maryśce odbiję!

Tak groził, wiedząc, że Florkowi dogryzie.

Jakoż Florek, usłyszawszy, chciał gonić, ale go już Gajda nie puścił.

— Daj pokój! Co się odwlecze, to nie uciecze! Pies szczeka, wiatr niesie—uspokajaj wzburzonego Florka.

Jakoż Wąsik dał pokój, ale wróciwszy do wsi, przestrzegł najpierw Maryskę, aby się miała na baczności, a potem obszedł poważniejszych gospodarzy i całą historię kłótni z Grzędzikiem opowiedział, bo miał wielką ochotę podać go jeszcze do sądu za napaść i obelgi.

Odradzili mu, ale że wszystkim markotno było, żeby taki włóczykij ludźmi od „chamskich dusz” poniewierał i własną rodzinę krzywdził,



więc, rada w radę, zgodzili się na jedno, że tak dłużej być nie może.

Wieczorem tegoż dnia prawie wszyscy to-karscy gospodarze zeszli się do chałupy Wacha. Tu naradzano się w dalszym ciągu, jakby złym uczynkom Szczepka koniec położyć, a reszty sierot po Grzędzie gnębić nie dać.

— Żleby już było, żeby gromada jakiego sposobu nie znalazła—przedstawił Gajda.—Sko-ro z tej gromady pochodzi, to niech jej słucha; nie, to niech idzie precz.

— Inaczej cała gromada zmarnieje—wtrącił były sołtys Sikora. — Słychane rzeczy! Święty Stanisław za pasem, a ten dopiero o oracze wspomniał.

— I jak orze! Niczem świnia ryjem na rzy-sku—dogadnął Wąsik.

— Grzędzina już od miesiąca kupnym chle-bem żyje, bo w stodole pono jednego ziarna niema—dodała Wachowa. — Przedwczoraj poży-czyła u mnie miarę jęczmienia na pęczak.

— To tam pono i na siew nie ostało— zau-ważyl Sikora.

— Bogać tam ostało. Już ano Herszla kro-winę oglądał. Chcą sprzedać na zasiew. Mówiła mi Maryśka—objaśnił Wąsik.

— Ot, doczekała się Grzędzina pociechy! — westchnęła Wachowa.

— To też innej rady niema — odezwał się, zwracając do Wacha, Sikora,—tylko wy, boście

sierotom przydanym opiekunem przecie, musicie jakiś ład wprowadzić. Szkoda zagrody.

Wach na to tylko czekał. Chciał on już dawno gromadę zwołać i za wiedzą wszystkich Szczepka od rządów odsunąć, ale zwlekał jeszcze—raz, wiedząc, że Grzędzina syna miluje nad wszyst-ko,—powtóre, aby złe języki nie gadały, że dla-tego dziecko od rodziny odpędził, żeby sam się przy sierocym chlebie pożywił. Myślał też, że Szczepek, wyszumiawszy, w końcu się za robotę uczciwie weźmie.

Ale teraz, kiedy go sami ludzie zachęcali, przestał się wahać i w odpowiedzi Sikorze tak mówił:

— Mój kumotrze! Chciałem to już od dawna zrobić, boć przecie ślepy nie jestem; ale mi tro-chę o Wincentową chodziło. U babiny Szczepek oczko w głowie! Od maleńkości chuchała na synka i wychuchała sobie rozboja! Nieraz, by-wało, nieboszczyk Wincenty do pasa się bierze, bo to psikusne było aż strach, to matka zaraz w bek, w krzyk! Od razu mówiłem, że z tego pociechy nie będzie. Potem poszedł w świat, ni-by za robotą, a tylko złem między ludźmi na-siąknął. Przebrał się na surdutowca. Nieboszczyk Wincenty chciał go duchem do siebie ściągnąć i gospodarkę powierzyć. Ale gdzie tam! Tygo-dnia nie usiedział w domu. A i teraz, jak wrócił, mało się to nagadałem, naostrzegałem: Ej! Win-centowa, pilnujcie syna, bo wam gospodarkę zmarnuje!...



Machnął ręką i mówił dalej:

— Psu na budę się nie zdało. Juścić, Bogiem a prawdą, z takim Szczepkiem nie byle kto poradzi, a cóż dopiero sama kobieta. To też widzicie, do czego doszło. Mnie nawet markotno, że się wprzód do niego nie wziąłem. Ale i ja myślałem sobie, że mu może Pan Bóg a Matka Przenajświętsza opamiętanie zesła...

Westchnął.

— Ale kiedy tak... to, moi ludzie — kończył, — trzeba jak można złe naprawić i sierockie mienie podratować! Będzie się krzywić Grzędzina! niech tam! Choć myślę, że i jej się już dobrze w uszy nalało...

— Ba! bo to raz płakała po kątach? — wtrącił Florek. — Mówiła mi Maryśka, że Szczepek i matce nie przepuści...

— Najpierwsza rzecz — przedstawiał Wach: — trzebaby się koło roli zawinać i ziarna dostarczyć. Mam jęczmienia parę korcy. Zasieję sierotom jedno staje. Koni swoich dam.

— I ja nie od tego — wtrącił Sikora. — Skoro wy, Wachu, jęczmień, to ja im wrzucę z korczyk grochu.

— U nas zboża niewiele; ale ojca poproszę, to choć z pługiem na dni parę wyjadę; będzie sporzej — napomknął Wąsik.

Inni także ofiarowali się dopomódz.

Więc Wach zaczął najpierw w imieniu sierot dziękować, a potem rzekł:

— Teraz jeszcze poproszę was o jedno. Jutro z rana pójdę do Grzędziny i całą sprawę przedłożę. Chcę, żebyście świadkami byli — zwrócił się do Sikory i starego Wąsika, który był przed chwilą nadszedł, — bo ten zbój gotów się jeszcze na mnie porwać.

Jakoż na drugi dzień o świcie poszli do chałupy Grzędów. Wincentowa krzątała się po izbie, małe dzieci spały jeszcze, a Maryśka zadawała gadzinie.

Szczepek chrapał w stajni, bo dopiero, jak objaśniała matka, nad ranem do domu wrócił.

Wach, nic nie mówiąc naprzód, po co przyszli, kazał Maryśce brata rozbudzić.

Niebawem nadszedł zaspany Szczepek, a spostrzegłszy stojących gospodarzy, zapytał hardo:

— A czegoj?

Więc Wach, niewiele myśląc, zaraz z góry na niego:

— Toś ty powinien gnić do tej pory!?

A potem prosto z mostu: jako matkę i rodzinę poniewiera, gospodarkę zapuszcza, statki niszczy, gadzinę tyrze...

• Zgłupiał Szczepek i języka w gębie zapomniał, tylko jak wilk na Wacha z pod oka spoglądał.

Ten zaś prawil:

— Tak dalej nie będzie. Gromada nie dozwoli zmarnieć sierotom przez jednego próżniaka. Od dziś inne już będą rządy.



— Tak... dość już tego!—potwierdzili Sikora z Wąsikiem.—Wach, jako opiekun, za wiedzą gromady, będzie miał na wszystko oko.

— To ja się do niczego nie tknę!—wrzasnął teraz Szczepek.

— A to nie tykaj. I bez ciebie się zrobi... Dużoś narobił!... Idź, zobacz w polu; kto tam orze? kto sieje? Wałkoniu!

Wincentowa teraz dopiero zrozumiała, o co idzie. Matczynemu sercu żal się zrobiło dziecka. Więc zaczęła się wstawiać za Szczepkiem, łagodzić, prosić, przysięgać za niego, że się poprawi.

Szczepek milczał. Wach stał twardo przy swoim.

— Poprawi się, będzie chciał robić — odrzekł,—to mu przecie nikt tego nie broni. Owszem, wszyscy mu będą radzi, że przecie przejrzał na oczy. Ale teraz, moja Wincenta, nie brońcie, bo ma, na co zasłużył; jeno podziękujcie ludziom, że wam z pomocną ręką przychodzą. Macie więcej dzieci—dokończył.

Chciała jeszcze babina molestować, ale sam Szczepek przeszkodził:

— Co tam będziecie po próżności bajdurzyć! W ojcowskiej chałupie jestem i ostanę!—wrzasnął.—A jak mi kto będzie w drogę wchodził, to...

— To co?—spytał Wach.

Zmiarkował się Szczepek, że z tej beczi nie można, bo trzem nie da rady, więc nie dokończywszy pogroźki, zgrzytnął tylko:

— Zobaczymy, za kim będzie prawo!

— A zobaczmy! Tymczasem, żebyś sobie wiedział, że jakbyś się poważył co ze statków albo gadziny przehandlować, to ci na sucho nie ujdzie. Jest spis wszystkiego po nieboszczyku, a za roztrwonienie koza — przestrzegł Wąsik; widząc zaś, że nie ma tu co więcej robić, kiwnął na obu towarzyszków i poszli.

Wybiegła za nimi Grzędzina, a że jej już niejako było po tem wszystkim prosić za Szczepkiem, więc tylko zaklinała, żeby mu despektu nie robili i do sądu o sprawdzenie spisane go po nieboszczyku majątku nie chodzili.

Przyrzekł to rozżalonej matce Wach, ale swoją drogą, za poradą proboszcza, wniósł podanie, jako opiekun, w którym prosił o odsunięcie Szczepka od zarządu majątkiem nieletnich. Na podaniu musiała się nawet podpisać Grzędzina. Wymógł to na niej ksiądz proboszcz, przedstawiając, że dla dobra dzieci, a nawet samego Szczepka, tak postąpić powinna.

W tydzień potem było już wszystko czarno na białem.

## V.

Rzucił się z początku Szczepek, odgrażał, że się z chałupy wyprowadzi i w świat, gdzie go oczy poniosą, pójdzie, ale jakoś siedział, z matką i siostrą się ujadając.



Tyle na swoim postawił, że, jak zapowiedział, do niczego się nie tknął. Przyjęty przez Wacha parobek robił wszystko.

Tylko o jadło się Szczepiek dopominał po dawnemu. Matczysko podtykało co mogło, dla świętego spokoju. Czasem nawet grosz jakiś, ze sprzedaży jaj uzbierany, dała synowi ukradkiem, bo co do zboża, to Wach dobrze pilnował i nic z chałupy Grzędów bez jego wiedzy nie wyszło.

Sprzykrzyło się też wkrótce Szczepkowi w chałupie, zwłaszcza odkąd Florek Wąsik, po odbytych z Maryską zmówinach, u Grzędów przesiadywać zaczął.

Jakoż pewnego dnia znikł Szczepiek z chałupy. Wrócił jednak za kilka dni i matce opowiadał, że na robotę do fabryki chodził.

I odtąd często wymykał się z domu na dni parę i zjawiał się znowu, a choć go o to nikt nie pytał, przy każdej sposobności szeroko o swych zarobkach po fabrykach głosił.

Dziwili się ludzie takiej przerywanej robocie, a jeszcze więcej tym zarobkom, o których opowiadał, zwłaszcza, że Szczepiek teraz bez pieniędzy nie był, w karczmie codziennie parę złotych zostawił, a Tereska Jaglanka na własne oczy widziała, jak u Herszlika różowy papierek na drobne zmieniał.

Miał też i przyodziewek na sobie prosto z igły, nowiuteńki, garniturów dwa lub trzy, bo się od święta inaczej, a na codzień inaczej nosił; sprawił też sobie harmonię z klawiszami, która,

jak mówił organista, co się na takich rzeczach znał, niemało kosztowała.

Raz nawet się pokazał i matce gościńca, wełnianą zapaskę, przyniósł.

Kręcili ludzie głowami, skąd na to wszystko pieniędzy brał, a Szczepiek na harmonijce grał i z niejednego pokpiwał sobie jeszcze, albo dojadł:

— Myśleliście, że sobie rady nie dam? Więcej mam teraz na tydzień, niż wy na kwartał! Niegłupim w ziemi, jak kura, grzebać!

Upływał tydzień za tygodniem, przeszły zima. Wincentowa, że się już żaloba po ojcu skończyła, zaczęła się gotować do Marysinego wesela. Szczepiek coraz częściej znikał ze wsi.

Aliści zaczęły chodzić słuchy, że w okolicy ludziom konie, krowy, a nawet i narzędzia gospodarcze giną.

W Dąbrowicy ktoś Tomaszowi Bale uprowadził kobyłę z pastwiska; w Górach samemu sołtysowi ukradziono krowę z obory, podwójne zamknięcie wylamawszy. A i w innych wioskach ginęły, jak kamień w wodę, to krowy, to konie, to wozy, a niejeden to się i w komorze wszystkiego nie dorachował.

Głośnie było o tem na jarmarkach, bo ludzie wyrzekali, ostrzegając jedni drugich, że się z pewnością banda złodziejska sformowała. Były nawet różne poszlaki, tbo w tokarskim lesie pastuchy znaleźli rogi i racice z zabitego bydła; strażnicy robili rewizye u różnych podejrzanych.



nych osób, i Herszlikowi się dostało, ale nic nie znaleźli.

Udawano się złodziejom bezkarnie, na krzywdę ludzką, ale odtąd po kilku stróżów w każdej wiosce nocami wartowało.

I w Tokarni, choć ją do tej pory jakoś złodzieje omijali, podwojono straż.

Jakoś przed samem prawie weselem z Maryską Grzędzianką wypadło stróżowanie na Floraka Wąsika.

Przespał się trochę z wieczora, póki światła w chałupach nie pogasły, żeby mu się później oczy nie kleiły, wziął świstawkę, tęgiego dębczaka i wyszedł. Wiedział, że u przyszłej teściowej w komorze pełno, bo wieprzka na wesele zabili, a że kobiety były same w domu, bo Szczepek według zwyczaju wędrował, więc skierował się ku zagrodzie Grzędów i tam w pobliżu zabudowań przystanął.

Noc była ciemna, zwyczajnie jak po nowiu, przyczem po północy zaczął mżyć deszcz gęsty. Florek owinął się w burochę, wtulił się pod okap stodoly i nasłuchiwał.

We wsi i na polach było cicho, tylko wróble ówierknęły czasem w strzechach.

Nagle zdało się Florkowi, że ktoś jedzie. Nadstawił uszu. Wyraźnie na półtankach ku lasowi rozlegał się tętent kopyt końskich.

— Może pastuchy na pastwisko — pomyślał, chociaż dziwno mu było, że tak wcześniej, a w do-

datku jechali jakoś cwałem, i jak po ciemku wy-miarkował, na przełaj przez pola.

— To nie pastuchy!

Przykucnął, przyłożył obie dłonie do oczów, uchem dotknął ziemi... Tętent słyhać było ciągle...

Wtem w samej wsi rozległ się nagle krzyk:

— Łapaj! trzymaj! złodzieje!

Porwał się Florek na równe nogi, poznał głos Wacha. Świsnął i co tchu wybiegł na drogę.

Odezwały się świstawki innych stróżów; psy zaczęły ujadać, we wsi powstał wielki rejwach; pozrywali się ze snu gospodarze i wszyscy biegli ku chałupie Wacha, a Florek z nimi.

Przed chałupą stał Wach. Rwał włosy i krzyczał wniebogłosy:

— Złodzieje! złodzieje! Moje kasztany! Łapaj! trzymaj, kto żyw!

A zobaczywszy nadbiegających, ruszył ku nim naprzeciw z rozłożonemi rękami.

— Sąsiedzi, ratujcie! Szkapy wzięli!

— Słyszałem, że coś cwałowało ku lasowi— odezwał się pierwszy Florek.

— Dawno? — spytał Sikora.

— Będzie z pacierz.

— I myśmy slyszeli — potwierdzili będący na straży Gajda z Szymczakiem.

— Sąsiedzi, ratujcie! — jęczał Wach.

— Gonić złodzieja! — zabrzmiało chórem.

Kilku młodszych rzuciło się do stajen i dalej konie wyprowadzać.



Florek skoczył również, i za chwilę przycwałował wawszy na swoim siwku, jął jeszcze Wachu pocieszać:

— Już ja go dopadnę! Przede mną nie ujdzie a wiem, w którą biedz stronę, bom dobrze słuchał. Za mną, chłopcy! — zakomenderował na innych, i niebawem kilku parobków i gospodarzy puściło się w pogoń.

Prowadził Florek. W pośrodku ścigających jechał Wach na pożyczonym od Sikory koniu.

Przecwałowali przez wieś, ale jak wyjechali w pole, sfolgowali.

Florek zsunął się z konia szukać śladów. A Wach, już trochę nadzieją pokrzepiony, opowiadał:

— Zaraz po północy poszedłem zasypać obrok sam, bo syn potrawu pilnuje. Stajnia była zawarta jak się patrzy... Klódki i sztanga... Zasypałem, zwołałem Burka do stajni, spróbowałem klódki i ległem w stodole na grochowinach... Ale niedługo, jakby mię coś tknęło, ocknąłem się. Myślę sobie: trzeba szkapom garstkę siana rzucić, bo to dziś właśnie miałem na jarmark jechać... Idę z sianem... zda mi się spojrzeć... a tu Burek leży już pod stodołą wyciągnięty... Ja do psa... zdechły!

— Dali psu pigułkę—wtrącił Gajda.

— Strach mnie zdjął! Skoczyłem żywo do stajni. Patrę... klódka rozbita, wrzeciądze skęczone, szkap niema, uździenic niema! Obręczne żelazo potrafił lotr skrócić!

— Jakiś *probant!* — zauważył młody Sikorzak.

— Pewnie, że *probant*—zaczął znowu Wach. Ale idący chyłkiem nad ziemią Florek przerwał: — O, tędy psiawiary jechali!

I ukazał na świeże ślady kopyt końskich, wyciśniętych w rozmiękłym gruncie.

Pozeskakiwali wszyscy z koni. Wach przypadł ku ziemi, bo choć już od wschodu niebo bieląło, ale na stojący trudno było starym oczom co rozpoznać—i zaraz wrzasnął:

— One! one same! kasztany! Patrzcie!—pokazywał—moje szkapki kochane! Kobyła bez podków, a wałasek na przodek świeżo kuty. One same!

— Prędziej, chłopcy—krzyknął Gajda. — Kiedy tak, to niema co marudzić, tylko do lasu!

— Dalej! już ja w tem, że nam nie ujdzie—wtrącił Florek i ruszył przodem, nachylając się niekiedy, aby śladów nie stracić. Pod lasem, na murawie ślad zginął, ale jak tylko w bór wjechali, zaraz na bocznej ścieżynie natrafili na świeże odciski kopyt końskich. Jeden koń był kuty, drugi bez podków.

Jechali teraz gęsiego, bo ścieżka była wązka. Florek ciągle przodował. Nagle przystanął. Ślad zginął. Zaczęto szukać na piechotę.

Przez ciemną zieleń sosen i świerków przeglądało już porankowe słońce. Różowy brzask wciskał się w cień leśny.

— Niech-no się na dobre rozwidni—odezwał się Sikorzak, — łatwiej nam pójdzie.



Wtem konie zaczęły parskać, a Florkowi bułanek zarżał... Rozległo się echo po lesie, a za chwilę gdzieś z gąszczu znowu doleciało końskie rżenie.

— Są! są! — krzyknęli wszyscy razem, ruszając w tę stronę pędem.

— Cicho! — przypomniał Gajda. — Nie ploszmy złodzieja. Lepiej się parami rozdzielmy. Konie zostawić.

Tak zrobili. Wach, jak każdy o swoje niecierpliwy, darł się na przód w gąszcze, a za nim Florek. Natrafili na gałęzie połamane.

— Tędy jechali — szepnął Florek.

Nagle, może o dwie staje od nich, rozległ się donośny głos Gajdy:

— Hop! hop! prędejj! hop! hop!

Wach skoczył jak oparzony, że Florek, choć przecież młody, nadążyć nie mógł.

Za chwilę ujrzeli Gajdę, a obok niego zaplątane w leszczynowym krzaku kasztany.

Dobiegli. Wach do koni — i nuż ścisnąć, całować, jakby nie przymierzając rodzone dzieci. Aż płakał, tak go radość rozebrała.

Nadeszli drudzy. Zaczęto się rozglądać.

— Kiedy konie są, to i złodziej niedaleko — odezwał się Gajda.

Ale Florek potrząsł głową.

— Albo jest, albo niema — zaczął. — Bo patrzcie-no!

I pokazał na konie.

Szkapy miały na biodrach i łopatkach skórę do krwi pozdzieraną, nogi od łańcuchów poderżnięte.

Oglądał to wszystko Florek i mówił:

— Mnie się widzi, że kasztany po prostu poniosły złodzieja. Na uździenicach utrzymać ich nie mógł i pewnie się gdzie nogami nakrył. Bo i związane nie były. Gnały same, utknęły w krzaku, zaplątały się w gałęziach i przystały.

Było w tem, co mówił, dużo prawdy, więc i inni zaczęli potakiwać:

— A nie inaczej było. Szkapy wyżernione! To i lepiej, że złodziejowi sztuka się nie udała. I za to dziękować Bogu, że się i gadzina odnalazła.

— Oj, pewno, pewno! — westchnął Wach, który się końmi nacieszyć nie mógł.

Postali jeszcze chwilę, pogawędzili, i już zabierali się do odwrotu, kiedy Wąsikowi wydało się, że coś jęknęło.

Niewiele myśląc, sunął w krzaki:

Za chwilę rozległ się przeraźliwy krzyk Floraka:

— O rety! rety!

Skoczyli żywo ku niemu w gąszcze.

Straszny widok uderzył ich oczy.

Pod olbrzymią sosną leżał człowiek czarno odziany z rozbitą głową. Struga krwi skrzepłej zakryła mu twarz całą. Oczy miał zamknięte, ręce zaciśnięte.

Nad ciałem stał Florek z załamanemi rękoma, jak skamieniały.

Podbiegli co tchu i aż się cofnęli z przerażenia.

Poznali...

Był to Szczepiek Grzędziak.



Żył jeszcze, bo mu w piersiach charczało, ale już sztywniał.

Litość zdjęła gospodarzy. Wach zerwał szmatę z szyi i obwiązał mu głowę. Gajda przyniósł z kałuży wody i prysnął w twarz rannego.

Otworzył oczy, ale mu zaraz powieki zwisły.

Ułożyli go na Florkowej sukmanie, pod sośną, i teraz dopiero spostrzegli, że Szczepek trzymał w zaciśniętej pięści garść kasztanowatego włosia.

Więc dla wszystkich stało się jasnym, co się wydarzyło.

Zaczęli patrzeć po drzewach, po ziemi... Na drzewach były ślady krwi, na ziemi ślady kopyt końskich.

— Dobrześ mówił — odezwał się do Florka Gajda. — Kasztany poniosły i zabiły złodzieja.

— Taki to był z niego ptaszek! — dodał któryś. — Nie dziwota, że w palitotach chodził! Z cudzej krzywdy to łatwo! Surdutowiec!

— Ktoby się to był spodział! — wtrącił inny. — Po fabrykach na zarobek chodził. Ładne fabryki!

I każdy coś powiedział, tylko Wach i Florek milczeli. Wreszcie odezwał się pierwszy:

— Ha! Jakie życie, taka śmierć. Niewiele mu się już należy. Ale chrześcijanami jesteśmy: trzeba bliźniego, choć i złego człowieka, ratować. Ja mu pierwszy, choć mnie chciał skrzywdzić, odpuszczam. Dalej, chłopcy! Zrobimy nosze, może jeszcze żywego doniesiemy. Niechby się wypowiedał.

Skoczył pierwszy Florek, bo, choć zawzięty był na Szczepka za Maryskę, ale mu się niedoszłego szwagra żal zrobiło, tylko się z tem odezwać nie śmiał — naciął kozikiem gałęzi.

Związali z Gajdą nosze, włożyli chorego i ostrożnie nieść ku wsi zaczęli.

W drodze prosił Florek:

— Nie mówcie ta pani matce (bo tak Grzędzinę nazywał) całej prawdy.

Tymczasem w Tokarni cała już wieś wiedziała o okradzeniu Wacha. Wachowa kobieta latała od chałupy do chałupy z lamentem.

Wszyscy byli bardzo ciekawi, czy pogoń dojdzie złodzieja, czy nie. Medytowali strasznie, ktoby to mógł zrobić, oczekując niecierpliwie jakiej wiadomości.

Aliści nadszedł, prowadząc Wachowe kasztany, Sikorzak, i opowiedział, co się stało, a choć utaił, że Szczepek miał w garści włosie z kasztanów, domyślili się ludzie potrosze, kto był złodziejem.

Ale do Grzędziny nikt nie śmiał iść z tą wiadomością. To też babina najspokojniej przyrządziła obiad, kiedy do izby wpadła Maryśka z płaczem i krzykiem:

— Matusiu! Szczepka przynieśli! Oj, rety! rety! Nieżywego przynieśli, nieżywego!

Ale Szczepek żył jeszcze. Bo kiedy Grzędzina z rykiem przed sień wybiegła i na kolana przy noszach padła, otworzył oczy i jęknął.



Położono go ostrożnie na pościeli, chustami w zimnej wodzie maczanemi obwiązano głowę. Pajęczyną z Bożem-drzewkiem i chlebem ugniecioną zatamowano krew, ciekącą z rany.

Ulżyło mu widać, bo już nie jęczał, tylko wargami zaczął poruszać, jakby coś przemówić pragnął.

Wreszcie skrzywił twarz z bólu, po rozbitej czaszce spłynęła kropla krwi i szepnął z wysiłkiem:

— Księdza...

Stojący obok Wach kiwnął głową na znak, że o tem pomyślał, a Wincentowa przypadła do łóżka z płaczem i zaczęła żałośliwie zawodzić:

— Synku! synusiul! Szczepuś!

Aż się serce krajało słuchać. Wszyscy też mieli łzy w oczach, bo wiedzieli, że już niezadługo jedna więcej dusza ludzka przed sądem Najwyższego stanie.

W sieni odezwał się dzwonek. Ksiądz przybywał z Panem Bogiem.

Obecni przyklękli.

Szczepek chciał się podnieść, ale nie mógł.

Zapalono gromnicę. I cichość wielka zaległa w izbie.

Po chwili ręka kapłana kreśliła nad umierającym znak Krzyża Świętego, znak Łaski i Przebaczenia.

W izbie łkające głosy szeptały modlitwę za konających.

Szczepkowi po zsiniałej twarzy biegły łzy ciurkiem.

Szlochał.

Nagle wstrząsnął się cały i zacharczał.

— Co ci to, synku? Szczepuś?—spytała przez łzy matka.

— Strach... strach!.. — szepnął.

— Czego, synku?... czego?... Ja tu przy tobie... twoja matka...

— Ojciec... tam... talarki... oj, Boże!... bądź miłościwi!..

Nikt tych słów nie rozumiał, a Szczepek powtarzał kilkakrotnie, coraz to słabszym głosem:

— Ojciec... strach!... talarki... srebrne...

Wreszcie twarz mu się skurczyła, zaczął dygotać całym ciałem, jak w zimnicy.

Spostrzegła to Maryśka. Skoczyła pędem do komory. Na tyczce wisiła sukmanka po nieboszczyku ojcu. Chwyciła ją coperędzej i nakryła brata.

I oto po twarzy konającego przemknął uśmiech, i jakby go w ostatniej chwili wszelka boleść odeszła, spojrział pogodnie w twarz siostry, potem sztywniejące palce rozprostował, ujął rąbek sukmany i do ust przycisnął. A potem jeszcze raz rozwarł szeroko oczy, po raz ostatni ca-



łą izbę objął wzrokiem—i już nie patrzył nigdy więcej na świat Boży.

Na trzeci dzień chowano surdutowca w białej po ojcach sukmanie.

A tak mu było ładnie po śmierci, jak nigdy za życia!

KONIEC.

## KSIĘGARNIA A. G. DUBOWSKIEGO

w WARSZAWIE,

Marszałkowska Nr. 91 (róg Żórawiej).

Poleca własnym nakładem wydane lub w większej ilości na-  
byte następujące dzieła:

	<i>Rb. k.</i>
<b>Adam Mickiewicz</b> <i>Upominek jubileuszowy</i> , z portr. Adama Mickiewicza i rysunkami Wł. Tetmajera. Skreślił Michał Synoradzki . . . . .	— 5
<b>Atlas historii naturalnej</b> (Zoologia, Botanika i Mineralogia) w 180 obrazkach na 28 tablicach z tekstem Feliksa Werwińskiego. W opr. kart . . . . .	— 60
Z kolorowanemi rycinami . . . . .	1 20
<b>Dygasiński Adolf</b> <i>Nędzarze życia</i> . . . . .	— 40
<b>Fürst L. d r.</b> <i>Życia kobiety</i> . Hygiena okresu dojrzalości kobiecej w stanie normalnym i chorobowym. Przetłómaczył H. T. Z z rysunkami . . . . .	— 40
<b>Gliniński Mieczysław</b> <i>Poezye</i> . . . . .	— 80
<b>Grajnert Józef</b> <i>Bij zebraczy</i> . Powiastka, odznaczona zaszczytnie na konkursie «Gazety Świątecznej» . . . . .	— 15
— <b>Obrazy z Wojen Krzyżowych</b> . Dla młodzieży. Z mapą Palestyny i krajów sąsiednich. . . . .	— 60
<b>Grzymałowski Władysław</b> <i>Dzieje Polski</i> w krótkim zarysie dla użytku młodzieży . . . . .	— 30
W oprawie kartonowej . . . . .	— 40
<b>Kadler Ludwik d r.</b> <i>O środkach ochronnych od chorób wenerycznych</i> . Przystępnie dla ogółu napisał. . . . .	— 25
Wydanie drugie, poprawione i dopełnione . . . . .	— 20
<b>Klechdy</b> czyli baśnie ludu polskiego na Śląsku . . . . .	— 20
<b>Laskowski Kazimierz</b> <i>Dyguitarze wioskowi</i> . . . . .	— 20
— <b>Kosztowni dobrodzieje</b> . Sylwetki z bruku. . . . .	— 20
— <b>Surdutowiec</b> . Powiastka ludowa. . . . .	— 15
— <b>(El)</b> <i>Z chłopskiej piersi</i> . Śpiewki. . . . .	— 20
<b>Lojola ks.</b> <i>Dzień gorliwego czciciela Najśłodszego Sereca Pana Jezusa</i> (na miesiąc Czerwiec). . . . .	— 30
<b>Lopuszańska Marya</b> <i>Obroncy bogów</i> . Powieść na tle dawnych legend. Dla młodzieży . . . . .	— 80
W oprawie kartonowej . . . . .	1 —
<b>Mastowicz Fr. ks.</b> <i>Różaniec</i> z obrazkami. Wyd. piąte . . . . .	— 25
— <b>Szkaplerz</b> Najświętszej Maryi Panny z góry Karmelu. Z 20-ma ilustracyami . . . . .	— 25



	Rb. k.
<i>O. A.</i> <b>Miejsca słynące cudami obrazów Maryi.</b> Z przedmową ks. Wł. Taczanowskiego. Z 5-ma obrazkami. . . . .	— 20
<i>Frzyborowski Walery.</i> <b>Dzieje Polski</b> , opracowane dla mło- dzieży. Wydanie drugie, poprawione i znacznie rozszerzone, z mapą Polski z roku 1772 . . . . .	1 —
W oprawie kartonowej . . . . .	1 20
W ozdobnej oprawie w płótno angielskie . . . . .	1 50
<i>Rościszewski Mieczysław.</i> <b>Kartograf.</b> Album wzorów wier- szowanych do kart korespondencyjnych. Podręcz- nik dla pań i panów. . . . .	— 20
— <b>Kozmowa i sposób jej prowadzenia.</b> Jedyny skuteczny poradnik dla chcących się podobać. . . . .	— 15
— <b>Wesele.</b> Poradnik dla wstępujących w związki mażeńskie . . . . .	— 15
<i>Ruland Wilhelm.</i> <b>Legendy nadreńskie.</b> Dzieło uwień- czone przez Akademię. Tłómacz. z franc. . . . .	— 30
<i>Szymkiewicz Kajetan ks. Sw. Marya Magdalena i św.</i> <b>Jacek.</b> (Żywoty i nabożeństwo do tych Świętych). Z dwoma obrazkami. Cena kop. 40, niższa na . . . . .	— 15
<i>Umiński Władysław.</i> <b>Jak powstała nasza ziemia i ja- ki ją czeka koniec</b> . . . . .	— 30
<i>Uruski Seweryn hr.</i> <b>Gospodarstwo łąkowe</b> . . . . .	— 20
<i>Wagner C.</i> <b>Podstawy życia rodzinnego.</b> Tłómaczyła z francuskiego K. Białecka . . . . .	1 —
W oprawie kartonowej . . . . .	1 20
W oprawie w płótno angielskie . . . . .	1 50
<i>Winczakiewicz A. ks.</i> <b>Pobożna dwudniówka w Często- chowie.</b> Dla pątników. Z 18 obrazkami . . . . .	— 25
<i>Zgliński Daniel.</i> <b>Humor w „Panu Tadeuszu.”</b> Szkic estetyczny. Wydanie drugie, powiększone. . . . .	— 20

## KSIĘGARNIA

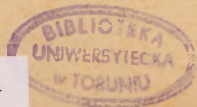
# A. G. DUBOWSKIEGO

w Warszawie, Marszałkowska 91.

Dostarcza wszelkich książek i nut, gdziebądź  
i przez kogobądź wydanych.

Przyjmuje prenumeratę na **pisma krajowe i za-  
graniczne** po cenach redakcyjnych.

Zamówienia z prowincyi załatwia **bezzwłocznie**—  
w razie żądania wysyła **za zaliczeniem pocztowem.**



Biblioteka Główna UMK



300020501210



365334